

Kochański Krzysztof

Gniew

Fantastyka - sierpień 1990

1.

Silne dłonie starannie złożyły pas na szerokiej ławie. Miecz stuknął głucho o drewno, jakby w stali tliło się tajemne życie. Eratur Merkalen, Komendant Straży Wermontu rzucił z siebie skórzany kaftan i z westchnieniem ulgi oparł dłonie o stół. Stał w rozkroku, lekko pochylony i wodził wzrokiem po ścianach. Lubił swój dom. Lubił do niego wracać, a często musiał to czynić, bo na tym polegała służba u księcia Grademieun.

Czuł znużenie, ale to również lubił - fizyczne zmęczenie, zwłaszcza wówczas, gdy przychodził czas odpoczynku i spokoju. Tak jak teraz. Wyprawa, z której powrócił, była ciężkim doświadczeniem, przyniosła jednak wiele łupów i radości ze zwycięstwa. Zadowoleni byli wszyscy, od szeregowego Strażnika, po Komendanta, może z wyjątkiem tych, którzy polegli. Lecz kto to może wiedzieć na pewno.

W każdym bądź razie ród Rolhnamanow, władający sąsiednim księstwem Kentgerontmontu został skutecznie ukarany za swoje zaborcze zapędy i tylko miłosierdziu księcia Grademieun zawdzięcza ocalenie. Książę oszczędzając władców księstwa zyskał ich wdzięczność miast nienawiści ludu. A gdy w dodatku wdzięczność wyraża się daninami w złocie i trzodzie, miłosierdzie okazuje się doskonałym pociąganiem politycznym, choć może ryzykownym na dłuższą metę.

- Wina! - krzyknął Merkalen do młodego sługi, który przygotował stół do posiłku. - Nie wiesz czego potrzeba żołnierzowi, gdy wraca do domu?

- Tak, panie!

Merkalen ugasił pragnienie. Nie wypił dużo, gdyż był zmęczony, a w tym stanie wino szybko uderza do głowy.

- No, co tam? - zadał zdawkowe pytanie słudze, który na te słowa poczerwieniał i nerwowo, be z celu począł przedstawiać naczynia.

- Hej! Mówię do ciebie! To tak cieszysz się z mojego powro... - naraz coś go tknęło. -Gdzie Onrazja? - zapytał.

Sługa znieruchomiał. Milczał.

- Jest we dworze? - nalegał Merkalen. - Księżna nie ma chyba serca, że nie wypuści dziewczyny, aby powitała ojca!

Gliniana misa wyśliznęła się z rąk sługi, a ten niespodziewanie wybiegł z izby, niczym spłoszone zwierze. Ucieczka była tak niedorzeczna, że Merkalen zwątpił w wiarygodność swych zmysłów.

- Co jest, do diabła! - ryknął czerwieniejąc na twarzy. - Wracaj natychmiast!

Zerwał się z miejsca, zapominając, że trzyma kielich. Wino czerwona strugą polało się na koszule i przesyciło powietrze swym aromatem. Merkalen zaklął raz jeszcze, otrzepując zmoczone płótno. .

O AUTORZE



Krzysztof Kochański -

Stary dobry rocznik 1958.

Mieszkam w Słupsku.

Opublikowałem ponad

czterdzieści opowiadań, w

większości SF i Fantasy. Na

podstawie dwu z nich zrealizowano słuchowiska radiowe ("Kabała", "Wesołych Świąt").

Pojedyncze teksty zostały przetłumaczone na węgierski, rosyjski, czeski, litewski i niemiecki ("Kabała", "Zabójca czarownic", "D.L.NET").

W latach 2000/2001 współpracowałem z miesięcznikiem "Twój Dobry Humor", gdzie zamieszczałem krótkie formy fantastyczno-satyryczne.

Wydałem tomik autorski opowiadań pt.

"Zabójca czarownic" (Almapress 1987), który

ukazał się również w Czechach ("Lovec

čarodejnic", Leonardo 1997), tam znacznie

rozszerzony w stosunku do wydania

polskiego o kilka nowszych tekstów.

Uczestniczyłem w ośmiu antologiach

opowiadań krajowych, jednej antologii

rosyjskiej ("Istriebitel wied'm"), jednej

czeskiej ("Maladie") i jednej niemieckiej

("Reptilienliebe").

Powieści: "Mageot" (Mag 2002) - do nabycia

również wersja elektroniczna e-book www.e-biblioteka.pl,

"Europa po deszczu" (w

"Wizjach Alternatywnych 4" , Solaris 2002).

W październiku 2003. ukaże się powieść

"Baszta czarownic" (MAG), której akcja

rozgrywa się współcześnie w Słupsku, lecz

realia okazują się zupełnie nie z tej Ziemi.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał stojących w drzwiach trzech ludzi: swego zastępcę w Straży Wermontu - Biernolda oraz dwóch Strażników.

- Wreszcie - rzekł, opanowując gniew. - Dziwiłem się, że książę Grademieun nie wyjechał mi na spotkanie. Czyżby wystarczyły mu wieści gońców i nie chce ze mną rozmawiać?

Biernold natarczywie wpatrywał się w Merkalea i jakby celowo odwlekał chwile, w której będzie musiał otworzyć usta. Nagle wprawnym ruchem wyciągnął z pochwy miecz. Dwaj strażnicy nie musieli tego robić; swoją broń trzymali w rękach od momentu wejścia.

- Książę nie chce z tobą rozmawiać, Eraturze - powiedział Biernold. - Mam rozkaz zabić cię.

Dziwnie dalekie wydały się Merkalemu te słowa, jakby dotyczyły kogoś obcego. Wiele można oczekiwać wracając ze zwycięskiej wojennej wyprawy, ale nigdy nie tego, co właśnie miało miejsce.

- Mam uczynić to teraz. Natychmiast - mówił Biernold. - Wybacz mi Eraturze, lecz rozkaz księcia jest dla mnie najwyższym prawem.

- Chyba śnie! - wybuchnął wreszcie Merkale. - Co za bzdury opowiadasz, przyjacielu? Mnie zabić!? Dlaczegoż to?! - mimochodem rzucił szybkie spojrzenie w bok, na leżący na ławie miecz. Niestety, był poza zasięgiem ręki.

A jednak Biernold zawahał się.

- Mogłem spodziewać się, że nic nie wiesz - rzeki. - Inaczej nie zastałbym cię w domu... A byłoby to lepsze i dla ciebie, i dla mnie.

Merkalen westchnął głęboko. Stał pośrodku izby, w rozchełstanej, mokrej od wina koszuli i z wściekłością zaciskał szczęki. - Mów o co chodzi! - zawołał. - Albo rozwalę ci głowę, nie bacząc na żelazo, którym się zaślaniasz!

Strażnicy postąpili o krok przed Biernolda, powstrzymał ich ruchem ręki. Twarz miał spokojną i opanowaną.

- Gniew przez ciebie przemawia i zaślepia cię - powiedział cichym głosem. - Byłem twoim przyjacielem i jestem nim nadal. Nie przeciwko mnie winienesz kierować nienawiścią.

- Żądam wyjaśnień!

Biernold skierował ostrze miecza w dół i nakazał strażnikom opuścić izbę. Ci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, ale wyszli, nawykli do posłuszeństwa.

- Trudno mi o tym mówić - rzekł Biernold, gdy za strażnikami zamknęły się drzwi. - Grademieun polecił cię zgładzić, ponieważ obawia się zemsty. Zna twoją porywczoność... odwagę i wie, że nie darujesz mu... - urwał nagle.

Merkalen zeszywniał. Już wiedział co się stało, ale nie mógł w to uwierzyć.

- Onraża... - szepnął. Wciąż jeszcze się łudził. Jak największej łaski czekał zaprzeczenia.

- Wiec wiesz? - Biernold zmarszczył brwi.

- Nic nie wiem. Skąd mam wiedzieć. Ale mój sługa... mój sługa... dziwnie się zachował...

- Książę pewnej pijackiej nocy zhańbił twoją córkę. Nie mogąc tego znieść wyskoczyła z wieży wprost na kamienie. Byłem przy jej zwłokach jako jeden z pierwszych... była to szybka śmierć, jeśli ma to dla ciebie znaczenie.

Merkalen zamknął oczy. Krew odpłynęła z pokrytej zarostem twarzy, pogłębiając jeszcze jej bladość. Nagle kaszlnął, skulił się i ramiona opadły mu bezwładnie. Cofnął się i usiadł na ławie.

- Słusznie myśli książę Grademieun - rzekł twardo.

Nastąpiła cisza, maćona niewyraźnym szmerem rozmowy strażników za drzwiami.

- Nie! - zaprzeczył Biernold. - Przychodząc tu zamierzałem być posłuszny rozkazowi, ale teraz... nie mogę. W dodatku twoja splamiona winem koszula...

- Moja koszula? - Merkale rzucił na wpeł przytomne spojrzenie.

- To znak szczęścia. Wiesz przecież. Człowiek skąpany w winie jest znakiem powodzenia dla tych, którzy go oglądają. Zabijając ciebie, zniszczyłbym własny los, odebrałbym sobie szansę szczęścia. Nie mogę tego zrobić.

- Grademieun cię zniszczy.

- Nie - jeśli uciekniesz. Przekaze, że nie zastałem ciebie w domu, że dowiedziałeś się o wszystkim wcześniej.

- A oni? - Merkale wskazał na drzwi.

- To oddani mi ludzie, a złoto skutecznie zamknie im usta.

Merkalen wstał. Były to pierwsze energiczne ruchy, jakie wykonał od dłuższego czasu. Chwycił pas z mieczem i starannie zapiął klamry.

- Nie zapomnę ci tego, Biernoldzie - powiedział.

- Wręcz przeciwnie, zapomnij. Ja nie będę pamiętał.

- Dzięki - zakładając kaftan Merkalen dotknął lepkiego sukna na swojej piersi. - Mnie niepotrzebne jest szczęście. Chyba tylko w jednym: żebym mógł dopaść Grademieuna.

- Nie myśl o tym. Jest zbyt potężny, a gdy dowie się, że uciekłeś, będzie się miał na baczności.

Merkalen roześmiał się ponuro. - Nie pomoże mu to! - Podszedł do okna i uchylił okiennice. Na twarzy poczuł orzeźwiający chłodny wiatr. To pochmurny dzień chylił się ku końcowi, lecz było jeszcze jasno. Dobrze, że zbliżała się noc. Noc jest dobrą porą; nie tylko na ucieczkę.

Jednym skokiem przesadził parapet. Ruch na wyłożonej kamieniem ulicy był jeszcze dość intensywny. Przejeżdżały wózki kramarzy, nierzadko ciągnięte przez właścicieli, postukiwały kopyta wierzchowców i zwykłych szkap, ciężko pracujących na swoją porcję obroku. Eratur Merkalen był znaną postacią w mieście, przechodnie ustępowali mu z drogi i kłaniali się okazując szacunek, lecz on z rzadka odpowiadał na pozdrowienia.

Dwór księcia Grademieun był wysokim, budowanym z kamienia i cegły budynkiem, okolonym solidnym murem, w którego szczyt wtopiono krótkie, ostro zakończone stalowe pręty. Prowadziło tu jedno tylko wejście - przez szeroką bramę, przed którą dniem i nocą wartowało dwóch strażników. Gdy Merkalen przechodził obok nich, wyprostowali się rutynowo, oddając honory. Widać nie wiedzieli nic o zamiarach księcia i wciąż uważali Merkalea za Komendanta.

Pewnym krokiem podążył wzdłuż zadbanego żywopłotu i po szerokich kamiennych schodach wszedł do domu.

- Prowadź do księcia! - rzekł strażnikowi pełniącemu służbę na dolnym korytarzu.

- Pan Wermontu wyjechał na polowanie - oznajmił wartownik. - Nie ma go... - dodał niepewnie i cofnął się o krok, widząc jak twarz Merkalea purpurowieje. Znal ten kolor. Znali go wszyscy podwładni Komendanta; oznaczał gniew.

- Gdzie książę!? - krzyk odbił się echem po budynku. Muskularna dłoń przycisnęła strażnika do ściany.

- Mówię prawdę, panie!

Z trzaskiem otworzyły się boczne drzwi i na korytarz wyskoczyło kilku strażników. Dwóch innych zbiegało z pietra po schodach, trzymając w rękach obnażone miecze.

Zobaczywszy Merkalea zatrzymali się jak na rozkaz. Gdy nadbiegł dowódca warty odsunęli się na boki, a na ich twarzach zaskoczenie ustąpiło miejsca ciekawości.

- Witam Komendancie - powiedział dowódca oglądając się za siebie, jak gdyby w oczekiwaniu pomocy, ale to on był najwyższą rangą. - Melduje warte w gotowości. Stan...

- Gdzie Grademieun? - przerwał Merkalen. Uwolnił z uścisku wartownika, który pośpiesznie odsunął się, masując obolałe gardło.

- Wyjechał na polowanie. Dziś rano.

- Uciekł! Ach tak. Z drogi! - rzekł krótko, odsuwając ręką dowódcę warty.

- Dokąd Komendancie?

- Do komnaty księcia, do sypialni, wszędzie! Chce zobaczyć, że go nie ma!

- Nie wierzysz mi, panie?

- Z drogi!

- Rozkaz!

Dowódca warty pobladał. Jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Musiał wykonać rozkaz Komendanta i przeczuwał w tym nieszczęście dla siebie. Bo dowódca wiedział, co stało się z córką Merkalea. Wszyscy o tym wiedzieli, choć oficjalna wersja była odmienna. Odmowa wykonania rozkazu, zważywszy wzburzenie Komendanta, mogła oznaczać dla dowódcy utratę życia. To do Merkalea wciąż jeszcze należała władza, nie zdjęta żadnym książęcym rozporządzeniem.

- Wracajcie do swoich zajęć! - krzyknął dowódca na swoich podwładnych. Sam zamknął się w wartowni, pragnąc, aby wszystko okazało się snem.

Grademieuna rzeczywiście nie było. Merkalen biegał po komnatkach, lecz płoszył jedynie służbę. W pierwszym odruchu chciał pozostać i poczekać na powrót księcia, lecz szybko uzmysłowił sobie bezsens takiego posunięcia. Grademieun zaraz po przekroczeniu granic miasta dowie się o wszystkim i zmuszony do działania, przestanie dbać o pozory. Dowódca straży pewnie już wysłał gońca z wiadomością.

Ruszył ku wyjściu, gdy nagle w końcu korytarza dostrzegł niewysokiego mężczyznę, z wydatnym brzuchem podrygującym w rytm biegu. Był to sekretarz księcia Grademieun, który podczas nieobecności Pana Wermontu sprawował pieczę nad dworem. Jego małe oczka mrugały nerwowo, a ręce były w ciągłym ruchu, jakby nie wiedział co z nimi począć.

- Cóż wyprawiasz, panie! - zawołał gniewnie, zatrzymawszy się przed Merkalemem. - Jak śmiałeś, niczym zbój, wtargnąć do domu księcia bez jego wiedzy - mówiąc dyszał ciężko i prychał śliną. - I to kto? Sam Komendant Straży Wermontu! Zapłacisz za swą śmiałość, gdy księżę powróci.

Merkalen spojrział na niego z pogardą.

- Jestem zbójem i cóż z tego? Jeśli mnie tak nazywasz, to co powiesz o Grademieunie, mordercy?!

Sekretarz oniemiał. Jego trzepoczące powieki zatrzymały się nagle, a nalane tłuszczem policzki nadęły, jakby nie mógł złapać oddechu.

- To kłamstwo - rzekł wreszcie. - Twoja córka popełniła samobójstwo...

Dłonie Merkalema niczym szpony pochwytyły go za koszule i uniosły o stopę nad podłogę. - A kto ją do tego doprowadził? Kto?!

Sekretarz otworzył usta, lecz nie mógł wykrztusić słowa. Nieoczekiwanie Merkajen odepchnął go rzucając na podłogę i wyciągnął miecz. Służący, który przypatrywał się im z daleka, umknął na ten widok tak szybko, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Merkalen skierował ostrze miecza ku sekretarzowi i mrużąc oczy powiedział: - Konia dla mnie, albo wyrznię tu wszystkich!

Sekretarz zerwał się z podłogi ze zdumiewającą przy jego tuszy zwinnością i pobiegł wykonać polecenie. W tej chwili mało obchodził go gniew księcia Grademieun. Pragnął jedynie, aby ten szalony człowiek opuścił wreszcie dwór.

2.

Rankiem Merkalen obudził się głodny i tak zmęczony, jakby w ogóle nie spał. Trudno jedną niespokojną nocą odrobić trudy wyprawy do Kentgerontmontu i wrócić do równowagi po ciosie, jakim była śmierć Onrazji. Ale nie mógł i nie chciał spać dłużej, znajdował się zbyt blisko Wermontu. Wczoraj gnał wierzchowca - byle szybciej i dalej - tak, że ten padł niemal pod nim i dopiero w tym zagajniku zatrzymał się na spoczynek.

Przeciągnął się, aż zachrupotały stawy. Ciężka to była noc, nawet dla żołnierza. O tej porze roku ziemia jest wilgotna, a skórzany kaftan był jedyną rzeczą, którą mógł się okryć. Podszedł do konia i rozpętał go, klepiąc przyjaźnie po szyi. Wierzchowiec zarżał, lecz odstąpił od człowieka, pochylając się nad rzadkimi źdźbłami trawy.

- Obaj jesteśmy głodni, przyjacielu - rzekł Merkalen - ale pora na nas, musimy jechać dalej.

Trzeba jechać. Najpierw do jakiejś wioski, zdobyć żywność, a potem? Dokąd potem?

Tego nie wiedział. Będąc u szczytu kariery utracił wszystko i teraz nie miał nic i na niczym mu nie zależało prócz jednego - pragnienia zemsty. Ale musi przeczekać, aż Grademieun przestanie go ścigać - bo nie wątpił, że ściga go teraz Straż Wermontu. Jego Straż! Ludzie, których szkolił, dla których był najwyższą władzą po księciu, z którymi przeżył wiele wojennych wypraw. A teraz oni ścigają jego jak zdrajcę!

Merkalen musiał zdusić w sobie bezsilność i czekać. Czekać. Jak długo?

Dosiadł konia. Wierzchowiec, którego przyprowadził sekretarz Grademieuna był naprawdę dobry - warto go było oszczędzać na nie wiadomo jak długą drogę - wiec Merkalen nie jechał szybko.

Step ciągnął się aż po kres horyzontu. Merkalen znał ten szlak, wiodący do księstwa Kentgerontmontu. To właśnie stąd przybył wczoraj zaledwie, choć wydawało mu się, że to tak dawno. Obrął drogę przypadkowo i teraz postanowił nie zbaczać z niej. Dlaczegoż, nie jechać tam właśnie, do podbitego kraju, gdzie nikt jeszcze nie wie o jego konflikcie z władcą Wermontu.

Koło południa Merkalen począł rozglądać się uważniej po okolicy. Niedaleko przepływała rzeka, pamiętał to, a coraz dotkliwiej odczuwał pragnienie. Gdy ujrzał w oddali kępę drzew, przyspieszył; tam właśnie była woda. Po chwili nie musiał już poganiać wierzchowca, zwierze poczuło niesiony wiatrem zapach sitowia.

Był już zupełnie blisko rzeki, gdy między drzewami zauważył ludzi. Ich odzienie rozpoznał z daleka, rozpoznałby je na samym końcu świata. Strażnicy Wermontu.

Przez moment serce Merkalema zabiło silniej, gdyż przypuszczał, że los naprowadził go wprost na księcia Grademieun. Dobry to znak, czy zły? Księżę nie wie jeszcze, że on żyje, uciekać, czy próbować walki?

Tamci dostrzegli go wcześniej i w kierunku Merkalema zdążyło trzech jeźdźców. To nie był Grademieun. W zbliżających się strażnikach rozpoznał żołnierzy garnizonu pozostawionego w Kentgerontmoncie jako znak zwierzchnictwa Wermontu. Jednym z nich był dowódca placówki, co zdumiało Merkalema.

- Witajcie - rzekł do nich, gdy zbliżyli się. - Witaj Kessuły - skierował wzrok na dowódcę garnizonu. - Co tutaj robisz? Dlaczego opuściłeś posterunek?

Zapytany nabrał głębokiego oddechu, po czym wybuchnął potokiem stów.

- Stała się straszna rzecz. Komendancie. Rolhnamanowie oszukali nas. To był podstęp... zdrada... mówiłem, żeby ich nie oszczędzać!

Wzburzony Merkalen przez chwile poczuł się znów Komendantem Straży Wermontu, człowiekiem odpowiedzialnym za zbrojną potęgę księstwa. - Jak to się stało?! Mów!

Kessuły gniewnie zacisnął dłonie trzymające lejce.

- Wyjechałeś w południe, panie i do wieczora było spokojnie. Ludzie Rolhnamana zaskoczyli nas nocą, podczas snu. Podłożyli ogień pod wszystkie budynki, w których nocowaliśmy. Tylko nieliczni zdołali uciec z płomieni i podjąć obronę. Wielu nie przebudziło się nawet; wino, które piliśmy rozradowani zwycięstwem, okazało się zatrute. To był mój błąd, Komendancie, nie powinienem pozwolić im pić... zbyt słabe rozstawiłem warty... gotowy jestem zapłacić życiem za te kłeskę...

- Co dalej? - ponaglił Merkalen.

- Zorganizowałem obronę wraz z tymi, którzy wina nie spożywali lub wypili go zbyt mało, aby ulec truciznie. Kentgerontmontczycy otoczyli nas pierścieniem, spychali w pożar. Na tle ognia byliśmy widoczni z daleka, ich kusznicy razili nas z ciemności, a my nie mieliśmy żadnej osłony. To było przerażające panie, wybac mi, że mówię tak ja, żołnierz, ale teraz jeszcze czuje swąd palonych ciał i słyszę krzyki. Byli tacy, których wino tylko sparaliżowało, płonąć wołali o pomoc, a my nie mogliśmy nic zrobić, było to gorsze od mieczy wrogów... W końcu zdołałem przebić się z kilkunastoma ludźmi, tymi, którzy dopadli koni. Piesi nie mieli szans. Na szczęście Kentgerontmontczycy zaniechali pościgu... Tak oto wracamy. Niechlubny to powrót, hańba dla żołnierza.

- Ilu was jest?

- Jedenastu, ale czterech dość ciężko rannych - Kessuły pokazał ręką na kępę drzew. - Reszta jest nad rzeką. - A ty, panie, jakim trafem znalazłeś się tutaj? I to sam?

Merkalen nie odpowiedział. Spiął konia i podążył we wskazanym kierunku. Jedenastu! Czyli nic! Jeszcze nigdy Straż Wermontu nie odniosła tak dotkliwej porażki. Opuszczając Kentgerontmont Komendant pozostawił w garnizonie trzystu ludzi. Czy mógł przypuszczać, że pokonani Rolhnamanowie podniosą tak szybko głowę?

Kessuły dogonił Merkale. Dwaj strażnicy jechali nieco z tyłu.

- Nie byłoby tego, gdybyśmy nie oszczędzili rodziny Rolhnamanów - rzekł nagle jeden z nich.

Merkalen odwrócił głowę w jego stronę, aż tamten z respektem wstrzymał konia.

- To prawda, panie - poparł go Kessuły. - Tylko Rolhnaman, żądny władzy tyran, mógł zdecydować się na tak szaleńczy krok. Przecież to oczywiste, że tam powrócimy, księżę Grademieun mu tego nie daruje... ani ty, panie. Rozniesiemy w proch Kentgerontmont, przyjdzie nam to z łatwością. Mimo wszystko nie zostało ich wielu.

Merkalen wciąż milczał. Imię Pana Wermontu w jednej chwili przypomniało mu o wszystkim. Co mógł obchodzić go Kentgerontmont czy ambicje Rolhnamana? Jego życie jako Strażnika Wermontu już się skończyło. Książę Grademieun był dla niego nie panem lecz wrogiem...

- Nie obchodzi mnie to - rzekł głośno i powoli, jakby sam chciał dobrze zapamiętać te słowa.

- Nie rozumiem... - Kessuły zeszywniał. Wreszcie dotarło do niego, że musiało się stać coś niezwykłego.

Dojechali do rzeki. Obozujący strażnicy ze zdumieniem przyjęli obecność Komendanta, który wyprzedziwszy ich o dzień drogi winien być już w Wermoncie.

Niespodziewanie dla nich Merkalen wyciągnął miecz, machnął nim kilkakrotnie i zawołał: - Podejdźcie, żołnierze! Mam ważną wieść i chcę, aby dobrze zapadła ona w waszą pamięć!

- Oto ja, Eratur Merkalen! A oto mój miecz! Moją siłę i waleczność znacie wszyscy bardzo dobrze. Czy jest wśród was ktoś, kto mógłby zaprzeczyć, że w całym Wermoncie nie ma wojownika, który mógłby mi sprostać w uczciwej walce? Powiedzcie to od razu, nie będę szukał zemsty za szczere słowa!

Odpowiedziała mu cisza i wyczekujące spojrzenia.

- Czy jest wśród was ktoś, kto miałby coś przeciwko mnie? W którego sercu tkwi uraza przeze mnie nie dostrzeżona? Mówcie śmiało, gdyż jest to jedyna chwila, gdy możecie o tym powiedzieć, bez obawy. Wiecie, że nie znoszę sprzeciwów, lecz dzisiaj czynię wyjątek i przyrzekam, że zapomnę cokolwiek bym usłyszał.

Gdy i tym razem nikt nie odpowiedział, słowa Merkale stały się twardsze i bardziej zdecydowane:

- A może ktoś z was chciałby się ze mną zmierzyć? Może wszyscy naraz? Czy sądzicie, że wszyscy razem wzięci, jak stoicie, zdołalibyście mi sprostać? Widzę po waszych oczach, że nikt tak nie uważa. I macie rację! Biada temu, kto jest moim wrogiem. Komu zaprzysięgłem śmierć, ten ją dostanie nieuchronnie! I ostatnie pytanie, żołnierze. Nim je zadam, raz jeszcze przyrzekam, że zduszę w sobie urazę,

jeśli odpowiedź będzie inna niż oczekuję. Wolno wam powiedzieć teraz wszystko... Czy jesteście pewni, że wasze zaufanie do mnie jest niepodważalne? Że możecie mi ufać jak bratu i najlepszemu przyjacielowi?

- Zaraz! - uniósł rękę, uciszając gwar podnieconych, pełnych pytań głosów. - Jeśli tak jest, to chcę, żebyście ze mną zostali, poszli za mną wszędzie, gdzie przeznaczenie skieruje moje kroki.

Merkalen zamilkł i spoglądał na twarze strażników. Były pełne zapału. Ale nie znali jeszcze prawdy, nie wiedzieli, że w Wermoncie już nie on jest Komendantem Straży. Musiał im to wyznać, aby ich decyzja była świadoma. Jeśli w przyszłości miał na nich polegać, musiał opowiedzieć, co wydarzyło się w Wermoncie.

3.

Noc była ciepła, ale nie gasili ognisk, które tu, w środku lasu, stanowiły ochronę przed drapieżnikami. Większość żołnierzy z oddziału spała, stłoczona w prowizorycznych szałasach; dwóch wartowników krążyło wokół obozowiska:

Trzech ludzi siedziało przy ognisku prowadząc cichą rozmowę. Merkalen i Kessuły spoglądali wyczekująco na trzeciego mężczyznę, który dopiero co przybył do nich na zdrożonym wierzchowcu.

- Kiedy należy się ich spodziewać, Wysbandzie? - zapytał Merkalen.

Mężczyzna nazwany tym imieniem uniósł nieco wyżej głowę. Blask ognia nadawał jego prostym, czarnym włosom srebrzystą barwę.

- Może już jutro - odparł. - Wyruszyli z Wermontu przede mną a nie sądzę, aby nieznajomość położenia waszego obozu była dla nich specjalną przeszkodą. Pomoże im Zbroja Mageota.

- Jakos nie wierze w jej niezwykłą moc - oświadczył Kessuły.

- Ona ich prowadzi - w głosie Wysbanda brzmiała pewność. - Widziałem ją w działaniu i teraz uwierzę we wszystko, cokolwiek o niej usłyszę. Byłem przy tym, gdy Grademieun wcisnął w nią sekretarza a potem rozkazał go zabić. Najpierw było kilku strażników, potem kilkunastu, nie wiem już ilu, w każdym razie znacznie więcej aniżeli mogło dostać się do człowieka w Zbroi, otoczonego na dziedzińcu ze wszystkich stron. Doszło do tego, że ranili się wzajemnie w tym tłoku i nic nie mogli zrobić. Ich miecze nie tknęły nawet Zbroi Mageota, jakby otaczał ją następny, niewidzialny pancerz. Chroniony taką osłoną sekretarz początkowo kulił się ze strachu, ale potem nabrał odwagi, uwierzcie mi - chodził pośród atakujących strażników niczym rolnik po polu pełnym dojrzałego zboża i śmiał się. Śmiał się w głos i nieuzbrojonymi rękami odrzucał na bok walczących, jakby były to wypchane kukły, a nie zaprawieni w walce żołnierze.

Trzeba wam było widzieć twarz Grademieuna, gdy sekretarz stanął w końcu przed nim i wyciągnął dłoń w stalowej rękawicy. Jak ta twarz zszarzała i wyostrzyły się jej rysy. Był to tylko moment, ale wszyscy zamarli sądząc, że oto zamiysł księcia obraca się przeciwko niemu samemu. I ja również przez chwilę sądziłem, iż jestem świadkiem buntu, lecz tak się nie stało, Merkalenie, sekretarz oddał hołd i poprosił o pozwolenie zdjęcia Zbroi. Rzecz jasna otrzymał je natychmiast, zyskując przy okazji jeszcze większe zaufanie Grademieuna. Stało się dla mnie jasne, że nikomu innemu księżę nigdy nie powierzy Zbroi Mageota. Jest zbyt tchórzliwy, aby używać jej samemu, ale i zbyt rozsądny, by ryzykować, że ktoś mógłby wykorzystać ją przeciw niemu. Dlatego sekretarz przewodzi grupie, którą wysłano przeciw wam.

- Działamy już cztery miesiące - powiedział Kessuły - i jak dotąd wychodzimy zwycięsko z potyczek z ludźmi księcia. Oni po prostu nie mają ochoty występować przeciwko Merkalenowi, który przewodził nimi tyle lat. A sekretarz księcia? Znać go lepiej ode mnie. Może za młodu potrafił walczyć, lecz teraz jest tłusty, a jego mięśnie dawno rozlazły się z powodu bezczynności. Żadna zbroja mu nie pomoże.

- Mylisz się! - zaprotestował Wysband. - Nie widziałeś Zbroi. Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją widział!

- Znam Wysbanda od lat - powiedział Merkalen - i wiem, że nie zwykł rzucać słów na wiatr. Jeśli tak twierdzi, to znaczy, że niebezpieczeństwo istnieje. Sam zresztą słyszałem niegdyś o sile Zbroi, choć dotąd traktowałem to jako jedną z wielu bajek o legendarnym Mageocie, człowieku stawiającym magię nade wszystkie wartości świata. Teraz sam nie wiem co o tym myśleć... Skąd u Grademieuna ta Zbroja?

- Księżę oświadczył, że zdobył ją jego dziad i do tej pory leżała zapomniana w piwnicach dworu - odparł Wysband - ale słyszałem też od służby pałacowej, że kilka tygodni temu przybył do nas pewien kupiec, który opuścił Wermont już pierwszej nocy, ponoć objuczony złotem i darami. Czy to prawda - nie wiem.

- To nieważne - zdecydował Merkalen. W każdym razie mamy problem. Widzę niebezpieczeństwo nie w samej potędze Zbroi, lecz w sile, z jaką jej rozgłos oddziałuje na żołnierzy. Z sekretarza żaden wojownik, ale wyobrażasz sobie Kessuły reakcje naszych ludzi, gdy ich miecze nie będą mogły go dosięgnąć?

Kessuły chwycił polano i wrzucił je w płomienie. Żar uderzył w twarz mężczyzn.

- Musimy zatem ustalić plan działania - podjął Merkalen. - Należy wyjaśnić żołnierzom sytuację i w związku z tym mam prośbę, Wysbandzie. Nie opowiadaj za wiele o Zbroi Mageota, zostaw to mnie. Gdy będziesz pytany, mów o niej raczej z lekceważeniem... Ilu Strażników Wermontu towarzyszy sekretarzowi?

- Około trzydziestu.

- A więc liczebnie siły będą wyrównane. Grademieun nie przypuszcza chyba jak rozrósł się mój oddział w ciągu tych kilku miesięcy. Albo tak bardzo ufa sile Zbroi.

- I jedno, i drugie - powiedział Wysband. - Z tego co wiem, uważa, że głodujesz w lesie z garstką ludzi, których w dodatku trzymasz przy sobie siłą. Nie mieści mu się w głowie, że ktoś dobrowolnie mógłby wystąpić przeciw niemu.

- Tym lepiej dla nas - stwierdził Kessuły.

Merkalen przytaknął skinieniem głowy. - O świcie opuścimy obóz i gdzieś w pobliżu zorganizujemy zasadzkę. Mamy tę przewagę, że o nich wiemy, oni zaś prawdopodobnie liczą na zaskoczenie. Pomyślą się. Takich walk się nie przegrywa.

- A Zbroja? - zapytał Wysband. - Co będzie, jeśli sekretarz okaże się nie do pokonania?

- Weźmiemy sznury i sieci - zaproponował Kessuły. - Jeżeli nasze miecze nie zmiażdżą go, w co nie mogę uwierzyć, wówczas pojmiemy go żywcem i zedrzymy ten diabelski pancerz.

Nagle zaśmiał się: - W ten sposób zdobędziemy naprawdę cenne trofeum, księżę Grademieun nie będzie miał wesołej miny, gdy dowie się, kto teraz jest właścicielem Zbroi.

- To dobry plan - rzekł Merkalen spoglądając w zamyśleniu ponad dogasającym ogniem. - Zbroja Mageota może być dla nas wygraną, o jakiej marzyłem, dzięki której nawet potęga Grademieuna może się złamać.

Trzasnęła pękająca w ogniu głównia. .

- Gniew w tobie nie osłabł? - zapytał cicho Kessuły.

Merkalen odetchnął głęboko. - Nie zaznam spokoju, dopóki Grademieun jest wśród żywych. Nie mam innego celu w życiu.

4.

Miedzy drzewami ukazał się człowiek. Merkalen rozpoznał go i zdradził miejsce kryjówki wołaniem naśladowującym krzyk sokoła.

Kessuły stanął przed nim zdyszany. Rozluźnił węzeł przy pochwie miecza, którą podwiązał, by broń nie przeszkadzała mu w marszu.

- Są - powiedział. - Po śladach w obozie zorientowali się, że opuściliśmy go niedawno i teraz idą naszym śladem. Konie zostawili, widocznie wciąż myślą, że uda im się nas zaskoczyć... Ale idą prosto jak strzełi, jakby doskonale wiedzieli, gdzie jesteśmy.

- A sekretarz?

- Jest w Zbroi, tak jak mówił Wysband... Inaczej ją sobie wyobrażałem, wygląda jak zwyczajny, stalowy pancerz. Dobra kowalska robota, ale nic specjalnie nadzwyczajnego.

Przeszli dalej, przeciskając się przez krzewy ku skrajowi niewielkiej polany.

- Jeśli nie zgubią tropu, powinni wyjść stamtąd - Merkalen wskazał na prawo.

- Nie zgubią go - rzeki wyłaniając się z listowia Wysband. - Zostawiliśmy wystarczająco wyraźne ślady. - I jak? - zapytał Kessulego.

Ten skinął głową. - Idą. Zaraz powinni tu być, ale wygląda na to, że żadne ślady nie są im potrzebne, sekretarz kieruje nimi, jakby znał nasze położenie...

- To Zbroja...

- Lub zdrajca!

- Zbroja!

Merkalen uciszył ich.

- Obejdź wszystkie stanowiska - polecił Wysbandowi - i sprawdź gotowość ludzi. Żadnych rozmów i ruchów bez rozkazu.

- Gdzie są kusznicy? - zapytał Kessuły.

- Po lewej... Chodźmy tam. To od nich się zacznie.

Czekali długo, wreszcie trzasnęły łamane gałęzie i u krańca polany ukazała się grupa Strażników Wermontu. Nie wszyscy weszli na wolny od drzew teren. Kilku żołnierzy obchodziło polanę przeczesując chaszczę. Merkalen dostrzegł ten manewr i gestem nakazał gotowość kusznikom. Czekał na pierwszy krzyk, który musiał nastąpić, gdy któryś ze strażników natknie się na jego ludzi.

Nie był to krzyk, lecz stłumiony jęk, świadczący o tym, iż zginął pierwszy z wrogów.

Z kusz wystrzeliły pociski, wzbudzając wśród Strażników Wermontu chwilowe zamieszanie. Kilku z nich osunęło się na ziemię, zabitych bądź rannych. Posypała się jeszcze jedna seria strzał miotanych z rezerwowych kusz, ale okrągłe tarcze strażników już zwróciły się w kierunku strzelających. Z gąszczu wyskoczyli ludzie Merkalena, krzycząc i wywijając uniesionymi mieczami. Również kusznicy opuścili swoje stanowiska i wybiegli na polanę. Merkaleń nie mógł pozwolić sobie na zachowanie rezerw, jedna potyczka musiała zdecydować o wszystkim.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie. W pierwszym starciu poległa czwarta część żołnierzy Grademieuna i to bez strat własnych; przewaga zasadzki przyniosła oczekiwane efekty.

Merkaleń był jedynym, który nie walczył. Obserwował sekretarza, którego nietrudno było rozróżnić pośród wojowników odzianych w skórzane kaftany; czarna Zbroja przyciągała wzrok. Ale sekretarz wyróżniał się nie tym tylko - jego ruchy były spokojne i metodyczne, jak gdyby uczestniczył w przedstawieniu bezpiecznym niczym przechadzka po ulicy... Żołnierze Merkaleń mieli przykazane unikać z nim starcia, zanim nie zostaną pokonani strażnicy, ale nie można było wymagać, aby i sekretarz zastosował się do tego. Miał krótki miecz, używany raczej do treningu niż walki, ale nie oszczędzał go.

I działo się tak, jak przepowiedział to Wysband. Sekretarz nie drgnął nawet wówczas, gdy stalowe ostrze przejechało po pancerzu na wysokości karku. Żaden cios nie czynił mu krzywdy. Nikt spośród tych, ku którym sekretarz kierował swą broń, nie potrafił się obronić.

Mimo wszystko Merkaleń jednak wygrywał. Przewaga liczebna jego strony była coraz wyraźniejsza - tak, jak to przewidywał plan: należy zwyciężyć Strażników Wermontu, a sekretarzem zająć się na koniec walki. Dlatego Merkaleń wyczekiwał, oszczędzał siły na ostateczną rozgrywkę. W krzakach leżała sieć, którą miano spętać Grademieunowego wysłannika.

Taki był plan i Merkaleń nie wątpił w jego powodzenie do chwili, gdy Kessuły - wbrew ustaleniom - zaatakował sekretarza. Nikt nigdy nie dowiedział się dlaczego to zrobił. Może chciał udowodnić Wysbandowi, że jego strach przed Zbroją jest niczym nieuzasadnionym tchórzostwem? Może uważał przebieg walki za tak pomyślny, że przystąpił do realizacji ostatniej części planu? A może po prostu zapragnął sławy wojownika, który pokonał moc Zbroi Mageota?

Faktem jest, że przewaga umiejętności i wyszkolenia w walce była zdecydowanie po stronie Kessulego, lecz w tym pojedynku to nie wystarczało. Ilekroć Kessuły zadawał decydujący cios, tylekroć jego miecz chybiał, ześlizgiwał się przed czarną Zbroją, wytracając w jednej chwili impet uderzenia.

I właśnie wtedy nastąpił przełomowy moment potyczki. Później Merkaleń wielokrotnie wracał myślami do tej chwili, usiłując dociec, co było większym błędem: przedwczesny atak Kessulego, czy też jego własna na to reakcja. A może niczego nie można było uniknąć, bez względu na okoliczności? Stało się... - miecz sekretarza nagle dosięgnął celu, rozdarł brzuch Kessulego i zanurzył się we wnętrznościach, a wszystko to na oczach Merkaleń. Stał oniemiały, czując jak chłód przesywa go od piersi do samych stóp; tylko trzewia miał gorące, jakby to jego wnętrza dosięgła stal.

Porywczność zawsze dominowała w charakterze Merkaleń, lecz nigdy jeszcze nie obróciła się przeciw niemu tak jak stało się to tym razem. Błąd Kessulego pociągnął za sobą następny - ogarnięty wściekłością Merkaleń włączył się do walki, choć plan przewidywał, że uczyni to znacznie później. W jednej chwili znalazł się przed sekretarzem. Wbił wzrok w szczeliny przyłbicy, ale nie dostrzegł za nimi niczego prócz ciemności.

Z całych sił uderzył mieczem.

Widział wcześniej jak to wygląda, ale nie mógł oprzeć się zdumieniu, gdy żelazo odbiło się niczym od muru, nie czyniąc przeciwnikowi krzywdy. Siła uderzenia omal nie wybiła mu broni z rąk.

Sekretarz nie skontrował ataku. Odwrócił się nie podejmując walki i ruszył z pomocą Strażnikom Wermontu. Jego obecność wzmocniła ich szyki, jakby udzieliła się im siła Zbroi.

Wygląd sekretarza zmienił się, może to krew Kessulego roznieciła w nim ogień, bo zniknął spokój i powolność jego ruchów, walczył teraz zdecydowanie, z zadziwiającą zwinnością w ruchach.

Merkaleń krążył za nim jak cień, ale nic nie mógł zrobić; człowiek w Zbroi zabijał jego ludzi, wykorzystując przewagę magicznej Zbroi. Pomyślał o ukrytej w zaroślach sieci i nagle zdał sobie sprawę, że jest już za późno, że tylko cud mógłby zmienić wynik potyczki. Przegrywał, choć jeszcze przed chwilą zwycięstwo wydawało się być w zasięgu ręki.

Rozpoczął się odwrót. Niespodziewanie Merkaleń stwierdził, że jest przy nim tylko Wysband, a resztką jego oddziału, kilku ludzi zaledwie, pierzcha w popłochu w las. Wtedy sekretarz stanął przed Merkaleńem twarzą w twarz. Niski śmiech, niczym z dna głębokiej studni, wydobył się z jego krtani. Zmęczeni, złani krwią Strażnicy Wermontu odsunęli się.

- Uciekajmy, panie - wyszeptał Wysband. - Nasza śmierć niczego tu nie zmieni.

Merkalen milczał. Wysband cofnął się o krok i dodał:

- Twoja śmierć jest właśnie tym, czego pragnie Grademieun.

Te słowa wystarczyły. Nieznaczne skiniecie głową i obaj odwrócili się równocześnie, wykorzystując fakt, iż strażnicy odstąpili, pozostawiając zakończenie walki Zbroi Mageota. Uwłaczający to był odwrót dla Merkaleń - po raz pierwszy uciekał przed wrogiem bez planu odwetu; czuł się jak pies goniony kamieniem. Niegdyś wolałby umrzeć niż znosić takie upokorzenie, lecz teraz był kimś innym, musiał żyć, bo wraz z nim żyła i zemsta.

5.

Las skończył się nagle. Wybiegli na otwartą przestrzeń stepu, skapaną w słonecznym świetle wciąż słysząc dobiegające z oddali odgłosy pogoni. Musieli przystanąć dla uspokojenia oddechu.

- Nawet teraz Zbroja pomaga sekretarzowi - rzekł Wysband. - Prowadzi go nieomylnie ku tobie, gdziekolwiek byś się znajdował. Odnalazła cię raz, odnajdzie i drugi. Skąd ona się wzięła?

- Nie wierze w tego kupca - odparł Merkaleń. - To musi być własność Grademieunów z dawnych wieków. Prawdopodobnie niegdyś ród postanowił, że świat winien zapomnieć o przedmiocie dającym człowiekowi taką moc.

- Dlaczego?

- Ze względu na brak gwarancji, że Zbroja zawsze będzie należała do nich. Ten kto zdołałby ją odebrać, mógłby odebrać również władzę. Dysponowałby potęgą, a dla Grademieunów potęga oznacza władzę, rzecz dla nich najważniejszą. Dopóki są posiadaczami Zbroi Mageota, dopóty z jej strony nic im nie grozi. Pokazanie jej światu jest kuszeniem losu.

- Panie! - żrenice Wysbanda rozszerzyły się. - Książę ujawnił Zbroję...

- Z mojego powodu - rzekł nie bez satysfakcji Merkaleń. - Dlatego teraz rozdzielimy się. Oni chcą mnie, nie ciebie. Pójdiesz skrajem lasu, ukryty wśród drzew.

- A ty?

- Przez step - Merkaleń wskazał przed siebie; na linii horyzontu płaski teren wznosił się i ginął w zamglonym powietrzu.

- To Wzgórza Demonie!

- Tylko szaleńczy krok może mnie uratować, jeśli zginę tam... to stanie się jedynie to, co grozi mi tutaj.

- Może moja pomoc...

- Nie. Już mi pomogłeś, jak nikt inny... Żegnaj, przyjacielu. Jeśli kiedyś się spotkamy... a nawet jeśli nie... nigdy nie zapomnę co dla mnie zrobiłeś.

6.

Merkaleń zszedł w przełęcz, gdy u góry, na tle pogodnego nieba, pojawił się pierwszy jeździec, a zaraz za nim następny. I następny. Wyglądali jak wyciosani w skale, płamy na bliskim horyzoncie.

Widzieli Merkaleń dokładnie, nie mógł schować się i - chyba dlatego zwlekali. Czekali aż dołączą ich towarzysze, pewni, że ofiara nie zdoła już umknąć. Gdy zaczęli schodzić ze wzgórza Merkaleń naliczył dziesięciu. Poczuł gniew, lecz stłumił go; rozumiał, że przeciw Zbroi Mageota walczyć nie można.

Wchodził na kolejne wzgórze. Zmierzał ku dużej grupie skał, wśród nich Strażnicy Wermontu będą zmuszeni zejść z koni. Przy pierwszych skałach usłyszał pogłos wydawany przez końskie kopyta, parskanie zmęczonych zwierząt i rzadkie nawoływania strażników. Byli już w odległości dogodnej do strzału, ale nie strzelali, widocznie jednak nie mieli kusz.

Skały były strome, lecz pełne załamań i ostrych krawędzi. Merkaleń wspinał się. Wykonywał automatyczne ruchy, nierzadko niemal pełzał na brzuchu, bo zmęczenie coraz bardziej dawało mu się we znaki.

Nagle wyciągnięta ręka sięgnęła na próżno, Merkaleń zachwiał się, przez chwile balansował usiłując złapać równowagę, po czym upadł twarzą do przodu. Mimo rozpostartych szeroko ramion, nie mógł się zatrzymać, zsuwał się w dół po zawałonej skalnymi odłamkami pochylni. Wbijał palce w podłoże, ale wyłamywał tylko paznokcie. Spadał. Słoneczne światło zniknęło, jakby w jednej chwili zapadła czarna noc...

Ocuciły go spadające z góry kamyki. Leżał na wilgotnej skale, wokół ciemność, tylko u góry widniała szczelina światła. Był w jaskini. Znowu spadły kamyki i do Merkaleńa dotarły glosy strażników. Schodzili do niego.

Dźwignął obolałe ciało. Z ulgą stwierdził, że kości ma całe, a ból pochodzi od stłuczeń i nadwreżonych mięśni. Rozejrzał się, ale ciemność była nieprzenikniona. Sprawdził pas. Miecz był na swoim miejscu.

Namacał ścianę i posuwał się wzdłuż niej, gdy nagle sparaliżował go strach.

Nic się nie stało; przed nim była ta sama ciemność i cisza, tylko głosy wołających strażników, a jednak dopadł go strach. Wzgórza Demonie. Był we wnętrzu jednego z nich.

Wzgórza otaczała ponura legenda. Rządziło tu zło - tak opowiadano - a człowiek był niepożądany, obcy. Śmiałkowicie, którzy próbowali zapuszczać się w te strony nigdy nie wracali. Merkalen zwykł trzeźwo oceniać legendy, lecz wiedział, że w każdej tkwi ziarno prawdy, dlatego wbrew zdrowemu rozsądkowi poczuł ulgę, że w pobliżu znajdują się ludzie. Wrogowie, ale jednak istoty z krwi i kości.

Niespodziewanie z góry dobiegł krzyk i równocześnie posypała się lawina kamieni. Po chwili coś ciężko uderzyło o ziemię. Merkalen na oślep ruszył w tym kierunku, ostrożnie badając butami teren.

To był jeden ze strażników. Merkalen dotknął jego twarzy i poczuł na dłoni ciepło oddechu. Odskokzył. Słyszał jak tamten usiłuje wstać, sapiąc i pojękując. Z góry wołali inni strażnicy. Nie było innego wyjścia - wyciągnął miecz i uderzył; raz tylko, lecz skutecznie.

Cofając się zdał sobie sprawę, że oto w Demonich Wzgórzach zagościła śmierć. Czyja to ofiara: człowieka czy Demona?

Po omacku posuwał się naprzód, trzymając w jednej ręce miecz, a drugą dotykając zimnej skały. Może ich strach, od którego przecież on sam nie jest wolny, powstrzyma pogoń? Szedł powoli, uważając, by nie potknąć się na nierównościach lub głazach napotykanym na drodze. Nagle powrócił lęk, silny, narastający, to samo uczucie, które ogarnęło go po odzyskaniu przytomności. Niełatwo było się od niego uwolnić.

- Merkalen! - rozległ się okrzyk niesiony przez echo.

Fala gorąca napłynęła na skronie, lecz trwało to tylko chwilę. Rozpoznał głos sekretarza.

- Wracaj Merkalen! Zapuszczając się w tę otchłań tracisz duszę. A księżę Grademieun odebrać ci może tylko życie. Rozważ to. Poddaj się i jedź z nami do Wermontu. Nie gub samego siebie!

Merkalen zrozumiał, że sekretarz boi się także. Zbroja Mageota i posłuszeństwo wobec Pana Wermontu nie potrafiły stłumić tego uczucia. Dlatego Merkalen nie odpowiedział, chciał, aby jego milczenie pogłębiło niepokój ścigających.

Szedł dalej i w chwili, gdy pomyślał, że może krąży po obwodzie jaskini, zobaczył światło - blask dnia przedzierający się przez daleką szczelinę. Jeszcze kilka kroków i zaczął rozróżniać niewyraźne kontury skał. To nie było to samo miejsce. Poczuł ulgę i dumę. Oto on, Merkalen, przeszedł samotnie przez wnętrza Demoniej Góry i żyje!

Za sobą usłyszał śpiew; sekretarz prowadził strażników każąc im śpiewać dla podniesienia ducha. Więc szli za nim, uparcie i nieustępliwie.

Merkalen zaczął biec. Ścigający nie wiedzieli jeszcze, że skalny chodnik kończy się, należało więc zyskać na czasie.

Znalazł się w obszernej jaskini - to w niej było najwięcej światła - i zatrzymał się raptownie. Drugie wyjście z jaskini, tam, skąd światło rozjaśniało mrok, znajdowało się wysoko, niemal pod stropem, a strome i gładkie ściany nie dawały nadziei, aby można było wspiąć się pod górę.

Jeszcze raz rozejrzał się bacznie, poszukując choćby kryjówki, lecz na próżno. Odwrócił się - mógł wrócić w ciemności, może uda się przyczołgać w jakimś załomie i tamci miną go nie zauważając.

Nie. Nie miną. Zbroja Mageota nie przegapi swojej ofiary.

Nieoczekiwanie spokój ogarnął Merkale. Nie musiał już wybierać, bo nie miał wyboru. Gotów do walki stanął obok wejścia tak, aby wchodzący nie od razu mogli go zauważyć i czekał, a spokój go nie opuszczał. Tak jak zawsze podczas bitwy.

I wtedy zobaczył Demona.

Ze skalnej półki spoglądała para gorejących oczu. Spojrzenie przepełnione nienawiścią i pragnieniem zadania śmierci... Szary, niewyraźny kształt niemal zlewał się ze skałą, nie pozwalając na ocenę wielkości istoty. Merkalen usłyszał dźwięk przypominający warkot dzikiego zwierzęcia i nagle pod tymi niesamowitymi oczami ujrzął białe zęby, rząd Spiczastych kłów.

Pieśń Strażników Wermontu ucichła, rozległy się krzyki, ścigający dostrzegli światło. Tupot nóg zbliżał się, a Merkalen nie mógł oderwać oczu od hipnotyzującego spojrzenia. Wreszcie wbiegli rozkrzyczani, całą gromadą, prowadzeni przez człowieka w Zbroi.

Merkalen skoczył ku środkowi jaskini i to prawdopodobnie uratowało mu życie, bo oto kształt ze skalnej wnęki runął w dół. Demon zaatakował.

To prawda, że Strażnicy Wermontu zostali zaskoczeni, ale nawet gdyby tak nie było, nie zdołaliby się obronić. Atak był szybszy niż zdolność koncentracji człowieka; szary kształt zadawał śmierć w tempie, w jakim wystrzelona z kuszy strzała osiąga drogę do celu. Nim ciało pierwszego z zabitych upadło na ziemię, już dwaj inni trzymali się za rozerwane kłami gardła.

Istota uderzyła w sekretarza, odbiła się od Zbroi przewracając jej właściciela i dopiero wtedy, na jeden krótki moment, zatrzymała się. Stała teraz w pełnym świetle, cała zalana krwią. Merkalen zdziwił się, że jest to stworzenie tak małe, niewiele większe od kota...

Znowu skok i znowu śmiertelny krzyk. Jeden ze strażników zdołał zamierzyć się mieczem, lecz niemożliwe było trafienie w stworzenie poruszające się z taką szybkością... Jeszcze jedno odebrane życie... Najdalej stojący strażnicy rzucili się w tył do ucieczki korytarzem, podobny kotu morderca pomknął za nimi, nie zamierzając zostawić przy życiu świadków swej siły.

Sekretarz wstał, chwiejąc się na nogach. Objął spojrzeniem zmasakrowane ciała podkomendnych, po czym czarna przyłbica skierowała się w stronę Merkalea.

- Merkalen, zawarłeś pakt z diabłem!

- Mylisz się - padła odpowiedź. - Nie mam z tym nic wspólnego. A jeśli już o to chodzi, to właśnie ty zawarłeś taki pakt, przyjmując Zbroje od Grademieuna, ty korzystasz z mocy niedostępnej ludziom. I teraz spotyka cię kara...

Przerwał mu śmiech: - Ja wciąż mam Zbroję, dam sobie radę, natomiast ty - jeśli nie zginiesz z mojej ręki, umrzesz z woli władców Wzgórz.

Merkalen słuchał tego ze zdumieniem; nie pojmował postawy sekretarza.

- Proponuję rozejm - rzekł trzeźwo. - Wydostaniemy się stąd, chrońmy życie, nasze sprawy załatwimy później.

- Nie!

- To coś zaraz może wrócić!

- Nie!

Ostry dźwięk. Upiornie brzmiący szczek. Powrót mieszkańca jaskini.

Merkalen stał twarzą do niego; sekretarz musiał odwrócić się, wykonać ruch i to zdecydowało, że pierwszy stał się ofiarą ataku. Ponownie z chrzęstem żelaza zwałił się na ziemię. Próbował wstać i znowu, otrzymał uderzenie. I jeszcze raz. Machał chaotycznie swym krótkim mieczem, nie wstając już, pełzał, wciąż otrzymując ciosy. Nie zadawały one ran. Zbroja Mageota chroniła skutecznie, ale z kolei sekretarz nie mógł dosięgnąć przeciwnika.

Ruchy walczących stawały się coraz wolniejsze i nagle miecz pełzającego człowieka, może przypadkiem, a może przytomnym jeszcze działaniem, dosięgnął walczącej z uporem istoty. Nie było to śmiertelne pchnięcie, ale wystarczyło, aby druga ręka sekretarza pochwyciła przeciwnika. Dwa ciała szamotały się teraz wśród kamieni, krwi i zwłok pokonanych Strażników Vermontu.

Nagle wszystko się skończyło. Cisza.

Merkalen postąpił o krok i poczuł ból mięśni, które przez cały ten czas pozostawały nieruchome, lecz wciąż napięte. Pochylił się i usłyszał stłumiony oddech sekretarza, trzymającego w rękach zduszone, szare truchło. Przyklęknął i ostrożnie dotknął Zbroi. Ledwie czuł ją pod palcami, odnosząc wrażenie, że nad metalem znajduje się cienka warstwa powietrza. Sekretarz jęknął i poruszył się. Ręce Merkalea śmieiej chwyciły klamry przy szyi i odpięły je. Gwałtownym ruchem ściągnął hełm, lekki i dziwnie oślizły, jakby martwy przedmiot sam siebie chciał ochronić przed niepowołanymi dłońmi.

Ujrzał twarz, która niewiele przypominała te jaką znał - nalaną tłuszczem, gładką i rumianą. Ostre rysy, orli nos, jakby był to zupełnie ktoś inny. Tylko podkrążone oczy, choć napiętnowane siatką krwawych żyłek, pozostawały te same. Wpatrywały się w Merkalea z napięciem. Były przytomne.

Rozległ się zgrzyt i ręce sekretarza opadły, wypuszczając zdobycz. Merkalen zamarł, gdyż wydawało mu się, że zwłoki istoty poruszyły się, ale było to tylko złudzenie. Nie była demonem, nie mogła nim być, skoro spotkała ją fizyczna zagłada.

Dłoń sekretarza błędziła w poszukiwaniu miecza, on sam nie spuszczał wzroku z Merkalea.

- Uwolnij mnie - szeptały zsiniałe wargi - Uwolnij...

- Od czego? - Merkalen był zaskoczony.

- ... Zbroja... Nie chcę już walki...

Na przekór słowom palce chwyciły miecz. Merkalen zauważył to; przydepnął rękę na wysokości nadgarstka. Schylił się, wyrwał broń i odrzucił daleko. Własny miecz przyłożył do obnażonego gardła.

- Uwolnij mnie... - powtórzył sekretarz. - Proszę...

Merkalen zawahał się. Spoglądał w przygasłe oczy i nagle dostrzegł w nich śmierć; znał się na tym, w swoim życiu wiele razy widział oczy umierających żołnierzy.

- Błagam...

Zdjęcie Zbroi nie było łatwe, ponieważ sekretarz nie potrafił mu pomóc, a nawet usiłował się bronić, choć na przekór czynom wciąż powtarzał: "Uwolnij mnie". Wreszcie Merkalen wyprostował się. Leżał przed

nim odziany w sukno wychudzony mężczyzna. Niespodziewanie na jego twarzy ukazał się cień uśmiechu. - Dzięki ci... - rzeki, z trudem poruszając wargami. - Zostaw ją tutaj... Niech będzie przeklęta... Zostaw ją... - nagle zakrztusił się. -... W przeciwnym razie nigdy nie będziesz już sobą... Ona niszczy wszystko... Nawet tych, którym pomaga.

Merkalen rozpiął sekretarzowi koszulę, z niedowierzaniem dotykając wątlęgo ciała, które niegdyś budziło wesołość swą tuszą. Miał przed sobą człowieka po wycieńczającej chorobie. Odwrócił głowę i spojrzął na złożoną w nieładzie Zbroję, pozostawioną przed wiekami w spadku przez kogoś, kto nazywał się Mageot. Przedmiot, który przetrwał, zachowując w sobie cząstkę mocy dawnego właściciela.

Sekretarz nie powiedział nic więcej. Odszedł cicho, jakby pokorą pragnął odkupić związek ze Zbroją. Nawet oczy zamknął sam, odcinając się od świata w swej ostatniej chwili. Cisza, jaka zapadła, uświadomiła Merkalenowi własne położenie. Musiał wydostać się z podziemi a jedyną drogą była ta, którą przybył.

Powstrzymał go nagły dźwięk. Merkalen przywarł do ściany, walcząc z wyobraźnią, z odradzającą się wiarą w Demona.

Dźwięk powtórzył się. Różnił się od skowytu wydawanego przez istotę pokonaną przez sekretarza, lecz jednak w pewien sposób go przypominał. Wzrok Merkaleń błędził po ścianach jaskini, ale napotykał pustkę. Może któryś ze strażników jest tylko ranny? Merkalen postąpił krok do przodu, ale zaraz zatrzymał się. To nie było to. Odruchowo spojrzął w górę, gdyż najwyraźniej coś tam się poruszyło. I nagle - jak gdyby to jego spojrzenie wywołało taką reakcję - usłyszał płacz, a raczej pisk kojarzący się z płaczem, krzyk zrozpaczonego zwierzęcia.

Przełożył miecz do lewej ręki i podniósł z ziemi kamień. Rzucił nim i zastygł, gotowy do ucieczki, ale nie doczekał się reakcji. Rzucił drugi kamień, trafiając tym razem w sam środek celu i płacz nasilił się. "Więźniowie Demona" - pomyślał.

Przesunął się do miejsca, gdzie skalna półka opadała i wyciągając w górę ręce zdołał dosięgnąć krawędzi skały. Nie wierzył już w niebezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek chciało go zaatakować, miało na to wcześniej dużo czasu.

Występ był wystarczająco szeroki, aby człowiek mógł się po nim poruszać. Wyteżył wzrok. Półmrok nie pozwalał mu rozróżnić szczegółów, ale tam skąd dobiegał płacz coś poruszało się. Jeszcze jeden krok... Był już zupełnie blisko, gdy w jednej chwili zrozumiał wszystko.

Nie było Demona, ani jego więźniów.

Widział gniazdo. A w nim potomstwo stworzenia, które zginęło, broniąc przybyszom dostępu.

W gnieździe popiskiwały dwa, pokryte szarym puchem, zwierzątka; okrągłe miniaturki swej rodzicielki. Gdy Merkalen uniósł miecz, ich płacz nasilił się, jakby wiedziały, że w kawałku stali mieszka śmierć.

I wtedy - po długiej chwili wahania - człowiek opuścił broń nie zadawszy ciosu. Ostrożnie wyciągnął rękę i aż zaparło mu oddech, gdy dwa żywe kłębki ufnie przytuliły się do gorącej dłoni.

7.

Stepem jechał jeździec. Towarzyszący mu wierzchowiec był tak objuczony, że z daleka mogło wydawać się, iż i jego dosiadał człowiek, zgarbiony tylko i pochylony. Złudzenie potęgował kształt bagażu: ciemna zbroja, która choć złożona, zachowała swój obły kształt. Obok niej umiejętnie przytroczone juki, z których na świat wyglądały ciekawie dwie małe, kocie głowy.

Merkalen niespokojnie spoglądał za siebie. Od dłuższego czasu widział w oddali grupę jeźdźców, która zmierzała w tym samym kierunku co on. Nie było ich wielu, kilku zaledwie, ale dla ściganego człowieka każde spotkanie może być niebezpieczne. Zboczył z traktu mając nadzieję, że tamci mają wystarczająco pilne sprawy, aby nie interesować się przypadkowo napotkanym człowiekiem. I tak było; ich drogi zaczęły się rozchodzić, a odległość zwiększać, zwłaszcza że Merkalen popędził wierzchowca.

Nieoczekiwanie Merkalen zatrzymał się. Poczuł się dziwnie słaby; nieokreślone poczucie niepokoju wzmogło jego czujność. Nagle jęknął z bólu - głowę poraził mu ostry, krótkotrwały impuls. Ogromna igła przeszła czaszkę. Nie widział niczego, przed oczami miał mgłę, nie ciemność, lecz właśnie jednorodny mgielny opar. Świat zniknął.

I nagle powrócił. Zdumiony Merkalen rozejrzał się dookoła. Nic się nie zmieniło: step, garstka ludzi w oddali, to samo niebo i słońce. Tylko konie parskały niespokojnie, a wystające z juków kocie główki skuliły uszy.

Merkalen zawrócił. Zmierzał teraz wprost ku tym, którym przed chwilą starał się zniknąć z oczu.

Tamci dostrzegli jego manewr, zatrzymali się, a po chwili dwóch wysunęło się naprzód i stali tak, oczekując aż nadjedzie. Dopiero w tym momencie do umysłu Merkaleń powrócił porządek. Uzmysłował

sobie, że stało się coś ważnego, że postąpił w sposób, którego nie rozumie. Ale nie mógł się już wycofać. Odwrót mógł pogorszyć jego położenie.

Miał przed sobą Kentgerontmontczyków.

Od czasu rzezi w Kentgerontmoncie sytuacja polityczna zmieniła się, nie tak jednak, jak zapowiadali to Strażnicy Wermontu, którzy zdołali wówczas ująć z życiem. Owszem, księżę Grademieun po raz drugi uderzył zbrojnie, nie doszło jednak do ostatecznej rozprawy, gdyż i tym razem - wbrew głosom wołającym o zemstę - doszło do układów z Rolhnamanami. Oni sami zaproponowali warunki - to prawda, że jeszcze bardziej korzystne niż ongiś - zaślaniając się tym, że napad na garnizon Wermontu był dziełem opozycyjnego rodu. Dominacja Księstwa Wermontu stała się niekwestionowana, lecz setki ofiar rzezi poszły w zapomnienie i Merkalen rad był, że nie doczekał takiej hańby jako Komendant.

- Ktoś ty? - zapytał szorstko dowódca oddziału Kentgerontmontczyków.

Merkalen nie odpowiadał; patrzył na to, co działo się za plecami pytającego. Stało tam jeszcze trzech żołnierzy, a między dwoma z nich wisiał nagi, pokryty świeżymi ranami mężczyzna. W okrutny sposób przytroczony był linami do koni: prawa ręka i noga do jednego konia, lewe do drugiego, a on wisiał między nimi na wznak, z rozpostartymi kończynami. Dawał znaki życia, poruszał niemo wargami, choć niewiarygodne było jak może wytrzymać taką mękę, podróż z nieludzko powykręcanymi stawami.

- Ja go poznaje! - krzyknął żołnierz towarzyszący dowódcy. - To Merkalen. Pamiętam go!

Twarz dowódcy spoważniała, a ręka przesunęła się ku rękojeści miecza.

- To prawda? - zapytał patrząc w oczy Merkalena.

- Tak.

- Czego chcesz?

W tym momencie Merkalen zmieszał się. Bo cóż miał odpowiedzieć? Że nie wie? Że wyzwał los pod wpływem przebłysku szaleństwa?

- Jadę swoją drogą i wy jedźcie swoją - rzeki. - Niepotrzebne mi waśnie.

Na twarzach Kentgerontmontczyków pojawiła się dezorientacja.

- Jesteś wyjęty spod prawa - stwierdził dowódca. - Znam twoją historie... - przerwał, gdyż przyboczny żołnierz pochylił się nad nim i szepnął coś. Dowódca skinął nieznacznie głową i powiedział:

- Wieziemy księciu Grademieun dar, dzięki któremu jeszcze łaskawiej spojrzy na Rolhnamanów, bo od nich to prezent. Mój żołnierz sądzi, że twoja osoba mogłaby być jeszcze cenniejszym prezentem...

Merkalen gniewnie spiął konia, gotowy do walki.

- Nie! - powstrzymał go dowódca. - Mój żołnierz to prosty człowiek, nie potrafi przewidywać. Ja muszę dotrzeć do księcia Grademieun, nie mogę ryzykować i dlatego zgadzam się z tobą: idźmy swoimi drogami.

Merkalen nie potrafił oprzeć się uczuciu zadowolenia. Wciąż budził respekt, nawet gdy był sam przeciwko pięciu. Chciał powiedzieć "Żegnaj", lecz nagle ponownie, bez żadnego ostrzeżenia, bolesne ukłucie w głowę przykuło go do miejsca. Tym razem trwało to krócej - mgła sprzed oczu rozwinęła się zanim zdążyła całkowicie przesłonić widoczność.

- Uwolnijcie tego człowieka! - powiedział rozkazująco i przez moment poczuł przerażenie. Wypowiedział słowa, które nie zrodziły się w jego umyśle!

Dowódca oddziału wyciągnął z pochwy miecz a jego podwładni uczynili to samo.

- Oszalałeś, człowieku! - krzyknął gniewnie. - To Mageot!

Merkalen z wrażenia zapomniiał o obronie. - Mageot... - powtórzył bezwiednie.

- Odebrało ci rozum! - krzyczał dalej dowódca. - Nic dziwnego, że Grademieun ściga cię z takim uporem.

Ten krzyk otrzeźwił Merkalena; szybkim ruchem wy dobył miecz i spiął konia, który zadreptał w miejscu.

- Wiecie kim jestem - rzekł dumnie. - Zabiłem dziesiątki ludzi waszego narodu i teraz też się nie cofnę.

Zostawcie tego mężczyznę!

Dowódca poblądł. - Uznajmy, że nie spotkaliśmy się - zaproponował. - Niech każdy uda się w swoją stronę, tak jak chciałeś na początku.

- Zmieniłem zdanie.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy kim jest Mageot. Interesuje go tylko władza, jeśli znajdzie się na wolności, może zmienić oblicze świata.

- Mageot to legenda sprzed setek lat. Nawet jeśli istniał naprawdę, dawno już rozsypały się jego prochy.

- Wiedziałem, że nie wierzysz... - głos dowódcy oddziału Kentgerontmontczyków przycichł. - Jego duch odradza się, nie słyszałeś o tym? Oświadczam ci, że ten mężczyzna nosi w sobie ducha Mageota. Pochodzi z daleka, z krainy za Wielkimi Jeziorami i nie zna nawet naszego języka, ale został zdemaskowany. Uwierz mi!

Merkalen milczał. Wahał się. Zastanawiał go zbieg okoliczności: miał ze sobą Zbroje Mageota a teraz - jeśli to wszystko prawda - napotkał człowieka o tym imieniu. Czy możliwy jest taki przypadek? A jeśli nie, to co w takim razie to wszystko oznacza?!

- Jak myślisz - mówił dalej dowódca - dlaczego traktujemy go tak okrutnie? Bo nigdy nie wiadomo co ten człowiek wymyśli i jakie siły przywoła na pomoc. On zna magię. Przywiązaliśmy go pomiędzy dwa konie i jeśli cokolwiek uczyni aby się uwolnić, popędzimy je, niech rozerwą ciało na strzępy. To gwarancja naszego bezpieczeństwa. Ostrzegam cię: jedź dalej, gdyż i tak nie zmienisz jego losu. Na mój rozkaz jeźdźcy ruszą, a potem rozdziela się... Chcesz, żeby umarł już teraz?

Merkalen nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tym momencie dwa zwierzątka w jukach obudziły się z letargu i, wydając dźwięki przypominające złośliwy chichot, obwieściły swą obecność. Szamotały się rozpaczliwie, z niewiadomej przyczyny usiłując wydostać się na zewnątrz, choć dotychczas dobrze znosiły podróż.

Kentgerontmontczycy zareagowali przerażeniem. W pierwszej chwili zastygli, jakby rzucono na nich czar, po czym - ku zdumieniu Merkaleń - dwaj żołnierze zawrócili konie i popędzili przed siebie jak ludzie dotknięci nagłym szaleństwem. Dowódca usiłował zapanować nad sobą, jednak tętent kopyt spowodował, że i on poddał się impulsowi i krzyknawszy dziwne słowo: "Szorki!" pogalopował w ślad za swoimi żołnierzami. Pozostali tylko dwaj jeźdźcy - ci dosiadający koni, do których przywiązano Mageota. Ich czoła zraszał pot, oczy wyrażały pragnienie ucieczki, a jednak stali nieporuszenie, a między nimi nagi, poraniony mężczyzna.

- Co się stało? - wykrztusił Merkalen.

- Szorki - rzekł jeden z żołnierzy, z trudem wydobywając słowa. - Strażnicy Wzgórz Demonich...

- Śmierć! - krzyknął nieoczekiwanie silnym głosem drugi i zeskoczył z konia. Pobiegł w step, byle dalej od istot, które tak go przeraziły.

Jego towarzysz okładał swego wierzchowca rzemieniem, lecz ten stał spokojnie, niczym kamienna bryła i nic nie świadczyło o tym, iż odczuwa jakikolwiek ból. Wreszcie żołnierz również wybrał ucieczkę piechotą.

Merkalen zeskoczył z siodła i zbliżył się do Mageota. Podtrzymując bezwładne ciało odciął liny; konie ocknęły się, parskały i potrząsały łbami. Odbiegły nieco, spłoszone, zaraz jednak uspokoiły się i poczęły skubać trawę.

Kocie zwierzęta - nazwane przez żołnierzy Kentgerontmontu szorkami - były już spokojne i ciche. Merkalen podszedł po derkę, którą chciał okryć mężczyznę i przy okazji rozluźnił wieży juków. Młode szorki, nie zważając na wysokość, zeskoczyły na ziemię. Natychmiast rozbiegły się i podjęły zabawę, nie zwracając uwagi na człowieka. W tej chwili trudno zrozumieć panikę, jaką niedawno wywołały.

Mageot miał oczy na wpełń przytomne; był tak wycieńczony, że Merkalen zwątpił w przypisywane mu magiczne umiejętności, zaraz jednak przypomniał sobie dwóch Kentgerontmontczyków, zmuszonych uciekać pieszo, gdyż ich konie zapomniały o posłuszeństwie. A jego własne, zadziwiające postępowanie!

Musiał w to uwierzyć. Miał przed sobą Mageota. I nagle poczuł brzemień odpowiedzialności. Jakże ma prawo pomagać komuś, kto jest wrogiem ludzi? Może wciąż jeszcze znajduje się pod jego wpływem, może Mageot znów zawładnie jego umysłem, choć on sam nie będzie zdawać sobie z tego sprawy?

Ale następna myśl odrzuciła wahania. Oto wreszcie znalazł człowieka, który pomoże mu pokonać Grademieuna - i wszystko inne przestało się liczyć.

8.

Zapadał zmrok. Merkalen zdjął z wierzchowca Zbroję i położył obok okrytego derką mężczyznę. Mageot rozwarł powieki i w jego oczach pojawił się błysk; milcząco obserwował swego wybawcę a jego spojrzenie było chłodną, obojętną lustracją, bez cienia uczucia.

Merkalen poczuł się nieswojo. - Nie rozpalam ognia. Okolica nie jest bezpieczna - powiedział.

Żadnej reakcji.

- To prawda, że jesteś Mageotem? Pomożesz mi...? Ja tobie pomogłem... Nie żądam wiele... - nagle przerwał, gdyż mężczyzna poruszył się. Wyprężył ciało i coś trzasnęło z nieprzyjemnym chrzęstem. Niespodziewanie Merkalenowi wydało się, że złożona w trawie Zbroja drgnęła, przysuwając się do leżącego człowieka.

Gra wyobraźni.

Mężczyzna poruszył wargami i wreszcie odezwał się. Wypowiadał słowa w obcym języku, jakieś jedno długie zdanie, w którym powtarzało się imię: Mageot.

- Nie potrafię cię zrozumieć - rzekł Merkalen. - Chcę tylko, abyś pomógł mi zabić Grademieuna.

Mageot nie odezwał się więcej. Po chwili przymknął powieki i usnął.

Merkalen nie mógł zasnąć. Szorki położyły się obok niego i ogrzewały swymi ciałami. Odgarnął je od twarzy, ponieważ przysunęły się zbyt blisko, a ich sierść nie była już tak miękka jak przed kilkoma dniami, gdy wyszli z jaskiń Demonich Wzgórz. Zdumiewające jak szybko dojrzewały te dzikie zwierzęta, jak łatwo dostosowywały się do nowych warunków. Jadły wszystko: trawę, owady, gryzonie; mimo szczenięcego wieku właściwie w ogóle nie wymagały opieki. Merkalen polubił je i one również okazywały mu przywiązanie, być może utożsamiając ze swoim rodzicem. Dzisiejsze wydarzenia uświadomiły mu, że kiedyś szorki staną się dorosłymi osobnikami, takimi jak ten walczący w jaskiniach. Czy będą z nim nadal, skoro u ludzi zasłużyły sobie na miano demonów?

Gwiazdy na niebie traciły swój blask, rozmywały się w fosforyzującą mgłę, kłębiącą się grubymi pasmami i przybierającą kształty przedmiotów, zwierząt, nawet ludzi. Wszystko było znajome, lecz pamięć okazała się zawodna i nie pozwalała konkretyzować skojarzeń, choć były one wyraźne i bliskie. Ciągły ruch zmieniał formy kształtów, rozmywał kontury, by po chwili znowu je wyostrzyć, już w innej rzeźbie, innych barwach i odcieniach.

- Pochodzę z kraju za Wielkimi Jeziorami i nazywam się Mageot, choć przez wiele lat wątpiłem, czy imię to jest mi należne.

- To nieprawda, że pragnę władzy, przynajmniej nie w takim pojęciu jak rozumieją to ci, którzy mnie o to oskarżają. Nie chcę rządzić ludźmi ani panować nad światem.

- To prawda, że chciałem rządzić ludźmi i światem, i prawdopodobnie prawdą jest, iż chcieli tego wszyscy ci, którzy żyli przed wiekami i których imię teraz noszę.

- To co było prawdą kiedyś, nie jest prawdą teraz, lecz za błędy trzeba płacić, tym drożej, im więcej znaczysz i potrafisz. Bo jeśli czegoś się pragnie, a mimo wielu starań nie można tego osiągnąć, oznacza to, że takie pragnienie jest błędem.

- Nie chcę być Mageotem, lecz niczego nie mogę zmienić. Wyznano mnie z mojego kraju, twierdząc, że nie jest moim i jedyne czego chcę teraz to samotność, której wciąż mi się skąpi. Moje imię, legenda, nie dają mi odpocząć.

- Dlatego zostaw mnie w spokoju, człowieku, nie chcę brać udziału w twoim życiu, tak jak nie pragnę udziału w życiu nikogo na tym świecie. .

- Pragnę przeprosić cię za wtargnięcie w twoją jaźń, ale jak każdy człowiek jestem śmiertelny i mam prawo bronić życia. W dowód szczerości tych przeprosin mówię teraz do ciebie, bo przecież nie muszę tego robić - o wdzięczności zapomnijmy, gdyż to ja sam siebie uwolniłem.

- I jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Posiadasz rzecz, w której wyczuwam swoją własność i pozbawiam cię jej. Nie wiesz o tym, nie dostrzegasz jeszcze, ale Zbroja już kształtuje twoje wnętrze. Nie są to wielkie zmiany, ale nieodwracalne i gdyby nie one, nie mógłbym mieć na ciebie żadnego wpływu, nie usłyszałbyś mojego wezwania i nie zawrócił z drogi.

- Niszczę Zbroję, gdyż mam do tego prawo, należy ona do Mageota. Wyświadczam ci tym przysługę, prawdopodobnie ratuję twoje życie, choć wątpię czy to docenisz, przynajmniej teraz.

- Żegnaj Merkalenie. Możesz spotkać mnie jeszcze kiedyś, jeśli będziesz tego chciał i jeśli będziesz na to zasługiwał. Wezwij mnie wówczas, a wskaże ci drogę.

Merkalen otworzył oczy. Zerwał się na nogi, widząc, że słońce stoi już wysoko na niebie. Nigdy nie zdarzyło mu się spać tak długo i tak twardo.

Mageot zniknął. Nie było również dwóch wierzchowców, które pozostawili Kentgerontmontczycy. W miejscu gdzie wieczorem złożył Zbroję trawa była wypalona. Merkalen zaklął głośno, przykłęknął i obmacywał rękami ziemię, nie mogąc uwierzyć, że Mageot dokonał obietnicy ze snu. Przebierał palcami w szarym proszku, lecz nie znalazł dowodu, że jest on tym co pozostało ze Zbroi. Tak jakby nigdy nie istniała... Jakby nigdy nie istniał Mageot.

Szorki!

Zawołał, lecz odpowiedziała mu cisza. Zawołał raz jeszcze i nagle poczuł ulgę, gdy wybiegły zza pobliskiego pagórka, pędząc ku niemu na wyścigi. Ślady krwi na ich pyskach świadczyły, że powróciły z udanego polowania. Podskakiwały, zadowolone z zainteresowania, jakim obdarzył je ich pan i radość ta udzieliła się również Merkalenowi.

9.

Rozchylając ostrożnie gałęzie krzewów, Merkalen obserwował obóz myśliwych. Namiot księcia stał w samym środku leśnej polany; nietrudno go było rozpoznać, z uwagi na jaskrawe znaki herbowe. Świtało. Poranna mgła rozpraszała się z wolna, lecz w obozie nie było widać jeszcze żadnego ruchu. Tylko na skraju polany stało dwóch wartowników, rozmawiających przyciszonym głosem. Wstawał dzień i ich czujność słabła.

Merkalen już wczorajszym popołudniem wytropił miejsce obozu księcia Grademieun i postanowił nie przepuścić tej okazji. Musiał czekać sposobnej chwili - starał się postępować rozważnie, wszak miał do czynienia z ludźmi przygotowanymi do polowania, zaś między łowami na zwierzę a na człowieka różnica niewielka.

Łowieckie wyprawy Pana Wermontu zawsze trwały kilka, a nawet kilkanaście dni, Merkalen miał zatem przed sobą czas na zastanowienie. Nie mógł pozwolić sobie na popełnienie błędu, tym razem księżę musiał zginąć!

Liczył na szorki. Nie miał okazji sprawdzić ich umiejętności, ale przez ostatnie tygodnie wiele czasu poświęcał na ich tresurę, która wykazała niezwykłą waleczność tych małych istot. A doświadczenie z jaskiń Wzgórz Demonich pozwalało przypuszczać, że więcej są warte niż najlepszy wojownik.

Wreszcie cisza poranka została przerwana. Pierwszy pojawił się kucharz, który rozpałił ogień i począł przygotowywać śniadanie. Z namiotów wypełzła dworska służba, potem kilku dworzan, wreszcie sam księżę Grademieun odchylił skórę przesłaniającą wejście do miejsca nocnego odpoczynku. Na jego widok fala gorąca napłynęła na twarz Merkale. Powstrzymał gniew, na razie musiał zadowolić się obserwacją. Nie widział księcia od kilku miesięcy, lecz wydawało mu się, że dopiero wczoraj z nim rozmawiał, ufał mu i posłuszny był rozkazom.

Grademieun wzrostem niemal dorównywał Merkalenowi. Brodę miała krótką i rzadką, lecz za to wydatne i zadbane wąsy, które w chwilach zastanowienia zwykł przyglądać palcami. Stał teraz przed namiotem i przyjmował meldunek od nocnej straży. Minęła chwila, strażnicy odeszli i nieoczekiwanie przed księciem pojawiła się smukła, po męsku ubrana dziewczyna. Na jej widok Merkalen utracił spokój. Zobaczył Onrazję - zawsze mówiono, że są do siebie podobne: ona i Teflore, córka księcia...

Córka księcia - to ona stała właśnie przed swoim ojcem, witając go z samego rana.

A jego, Merkale, nikt nigdy już tak nie przywita. Wrodzona porywczność znowu zaczynała brać górę nad Merkalem, ale zachował jeszcze na tyle rozsądku, by wycofać się. Biegł niesiony gniewem, przeciskał się przez chaszczę nie zważając na hałas, jaki czyni. Nie mógł już dłużej czekać! Zdązał ku miejscu, gdzie pozostawił konia i szorki ze świadomością podjętej decyzji: zaatakuje dzisiaj, zaraz, jak naprędzej. Zginie albo zabije księcia, dość odwlekania zemsty!

Czekające pod wiekowym drzewem szorki wyczuły wzburzenie swego pana. Ich sierść nastroszyła się a oczy zapalały sinofioletowym blaskiem. Wyglądały odpychająco, lecz Merkalen nie zwracał na to uwagi. Uplłynął już miesiąc od chwili, gdy je przygarnął i bardzo się przez ten okres zmieniły. Nie wiedział tego na pewno, ale miał wrażenie, że są już dorosłe, w każdym razie bawiły się coraz rzadziej.

Zawołał i nie czekając zawrócił. Zwierzęta przybiegły posłuszne niczym psy, Po chwili wyprzedziły go, wydając dziwne dźwięki, warkot, którego jeszcze u nich nie słyszał. Poruszały się coraz szybciej sprężystymi skokami - wiedziały czego się od nich oczekuje...

Gdy wypadli na polanę; zaczynało śniadanie. Świta natychmiast rozpoznała Merkale, który zatrzymał się, szukając wzrokiem księcia. Większość rycerzy i dworzan rzuciła się w poszukiwaniu broni, niektórzy tkwili w miejscu nie mogąc ochłonąć. Jedni i drudzy zajęci Merkalem nie zwrócili uwagi na dwa niewielkie, przemykające chyłkiem kocie kształty. A właśnie od nich szła śmierć. Ponaglone krzykiem zaatakowały z zaciętrzewieniem, jakiego nie spodziewał się po nich nawet sam Merkalen.

Nim dworzanie zdążyli zorientować się skąd grozi im największe niebezpieczeństwo, już kilku z nich leżało we krwi. Szybkość walczących szorków trudno było z czymkolwiek porównać. Każde uderzenie miecza było wielokrotnie wolniejsze i zwinne koty bez trudu go unikały. Ujawniła się w nich siła mieszkańców Demonich Wzgórz, oto do czego zostały stworzone: walka była ich żywiołem, zagrało dziedzictwo krwi przodków i teraz nic nie mogło ich powstrzymać od zadawania śmierci.

Księżę Grademieun pochwycił dłoń Teflore i umknął z córką do swego namiotu. Merkalen pobiegł za nimi nie napotykając oporu, gdyż większość z tych, którzy ocaleli po szturmie szorków, szukała ratunku w ucieczce. Świta towarzysząca Panu Wermontu na polowaniu nie należała do dzielnych.

Merkalen jednym szarpnięciem zerwał skórę przesłaniającą wejście do namiotu i ledwie zdążył uchylić się przed ciosem miecza. Księżę gotów był do walki.

W głębi stała Teflore. Z pobladłą twarzą, z rozwartymi szeroko oczami patrzyła na walczących mężczyzn. Merkalen miał przewagę, wiedziała o tym i ona, i sam książę w przeszłości niejednokrotnie pobierający lekcje od dowódcy Straży Wermontu. I ta przewaga była widoczna. Grademieun cofał się, spychany siłą uderzenia przeciwnika, ale nie pozwolił, by opanował go strach. Jego oczy uważnie śledziły Merkalea, czekając z nadzieją na błąd. Walka przedłużała się, lecz jej wynik był nieuchronny i w końcu książę upadł, wciąż jednak zasłaniając się mieczem.

Teflore krzyknęła i w tym momencie boczne poszycie namiotu trzasnęło i rozerwało się jakby przygniecione spadającym głazem. Do środka wpadł ciemny kształt, przekoziółkował i zatrzymał się tuż obok księżniczki.

- Nie! - zawołał Merkalen. - Zostaw! Zostaw! Szork zawahał się. Spoglądał warcząc na skamieniałą z przerażenia Teflore, ale nie atakował. Słyszał wołanie Merkalea. Niespodziewanie zatrząśnięty i wyskoczył z namiotu tak samo szybko jak się pojawił.

Pobladła Teflore zachwiała się, lecz nie upadła. Przygwożdżony do ziemi Grademieun poruszył się. Merkalen uniósł ramię, aby zadać ostateczny cios i nagle zatrzymał się wpół ruchu.

- Nie, panie - dobiegł go błagalny szept. - Proszę... Odwrócił głowę, napotykał spojrzenie niebieskich oczu.

- Oszczędź ojca... Błagam!

Księżniczka przypadła do jego stóp, objęła nogi i ścisnęła z siłą, jakiej nigdy nie spodziewałby się po tak wątłej dziewczynie.

- Błagam!

Merkalen otworzył usta. Chciał zapytać o Onrazje, czy ją oszczędzono, czy ktokolwiek ujął się za nią? Ale nie wyrzekł ani słowa.

Gniew zgasł w nim niczym pochodnia rzucona w głęboką wodę.

Milcząc wyszedł z namiotu. Podbiegły szorki, zdyszane, lecz już uspokojone po walce. Jeden z nich utykał, powłócząc zranioną kończyną.

Merkalen odetchnął rześkim, przepelnionym zapachem żywicy powietrzem. Zerwał się lekki wiatr, chłodzący rozgrzaną twarz. Wiatr nie znający odpoczynku, wiejący gdzieś ze świata i gdzieś w świat. Z daleka i daleko.

- Mageot! - krzyk odbił się echem po lesie. - Dokąd teraz? Dokąd?!

Długo czekał Merkalen nim przyszła odpowiedź. Ale w końcu przyszła i wtedy ruszył w drogę.

Krzysztof Kochanski